

Pionier. Przełomowa kariera Johna Barnesa

1 listopada 2019

Michał Kolkowski

The logo for 'WESZŁO!' is displayed in white, bold, sans-serif capital letters on a black rectangular background. A yellow swoosh underline is positioned beneath the 'O', and a small yellow smiley face is located to the right of the 'O'.

– Im częściej oglądam powtórkę tego gola, tym bardziej mam wrażenie, że doświadczyłem czegoś w rodzaju eksterioryzacji. Szczerze mówiąc, to ja w ogóle nie pamiętałem okoliczności zdobycia tej bramki. Dopiero na wideo zobaczyłem, jak to wszystko przebiegało – w ten sposób John Barnes, z właściwą sobie beztrząsą, zwykł wspominać akcję, która w pewnym sensie zdefiniowała, a na pewno naznaczyła całą jego spektakularną karierę. 10 czerwca 1984 roku 21-letni skrzydłowy reprezentacji Anglii zszokował brytyjskich kibiców. „Synowie Albionu” mierzyli się akurat towarzysko z reprezentacją Brazylii na legendarnym stadionie Maracanã. Tuż przed przerwą Barnes otrzymał piłkę na lewej stronie boiska, po czym w brawurowym stylu powymijał kolejnych oponentów niczym tyczki podczas narciarskiego slalomu, położył na tyłku bramkarza, aż wreszcie wturlał futbolówkę do siatki. – Brazylijczycy po prostu się nie spodziewali, że Anglik może grać w taki sposób, dlatego poszło mi z nimi tak łatwo – skromnie tłumaczył skrzydłowy.

Jego największe sukcesy miały dopiero nadejść. Najważniejsze bramki miał strzelić wiele lat później. Trofea jeszcze na niego czekały. Jednak to właśnie w czerwcu '84 roku John Barnes postawił najważniejszy krok w drodze na piłkarski szczyt. Przełomowy nie tylko dla losów własnej kariery, lecz całego brytyjskiego futbolu. Gdyby ktoś z ekipy Canarinhos jakimś cudem go wtedy powstrzymał, gdyby golkipier popisał się skuteczną interwencją, być może dzisiaj nie istniałby powód, by nazywać Barnesa pionierem. A on bez wątplenia takowym został.

W pierwszej połowie 1984 roku angielscy kibice nie mieli wielu powodów do radości. Krajem targaly niepokoje społeczne – Margaret Thatcher, drugi raz z rzędu mianowana premierem Wielkiej Brytanii, w sposób bezwzględny obeszła się ze strajkującymi górnikiem. Zresztą właśnie w czerwcu '84, podczas próby zablokowania koksowni w Orgreave, doszło do przesilenia na linii rząd – protestujący. Thatcher nie ugięła się pod presją związków zawodowych, podobnie jak wcześniej pozostała nieugięta podczas wojny o Falklandy. Z jednej strony budowało to popularność i reputację „Żelaznej Damy”, z drugiej zaś skutkowało chęcią odwetu i kolejnymi strajkami, o zasięgu wcześniej nieznanym w powojennej historii Wielkiej Brytanii. Do dziś trwają zresztą spory historyków odnośnie oceny twardych, niekiedy bezkompromisowych rządów Thatcher. Trudno się zatem dziwić, że w takich okolicznościach przyrody utwór „Heaven knows I'm miserable now”, czyli wyjątkowo smętna pieśń zespołu The Smiths, doczłapał się do pierwszej dziesiątki zestawienia najpopularniejszych przebojów muzycznych w Zjednoczonym Królestwie.

„Niebiosia wiedzą, że jestem dziś nieszczęśliwy” – wielu Anglików mogło się podpisać pod ponurym zawodzeniem Morrissey'a, wokalisty wspomnianej kapeli. Zwłaszcza jeżeli mowa o pasjonatach futbolu. Im zgryzot naprawdę nie brakowało.

Angielska kadra znajdowała się w dołku. Nie zakwalifikowała się na mistrzostwa Europy, w eliminacjach ustępując pola Dani. Dlatego czerwcowy sparing z Brazylijczykami zorganizowano niejako ku pokrzepieniu serc. Euro 1984 przepadło, więc niech mecz towarzyski z tak potężnym rywalem choć w małym stopniu załagodzi ból i wypełni tę zionącą pustkę w piłkarskim kalendarzu. Wobec zespołu dowodzonego przez Bobby'ego Robsona w gruncie rzeczy nikt nie miał w tamtym czasie wielkich oczekiwań – wielu kibiców liczyło wyłącznie na to, żeby Anglicy się w Brazylii nie skompromitowali. – Przed wyjazdem do Ameryki Południowej reprezentacja przegrała u siebie towarzyski mecz z Sowiecami. Potwierdził on dwie rzeczy. Po pierwsze to, jak gówniana była wtedy Anglia. Po drugie, jak zniechęcony był na Wembley w tamtym czasie Robson – pisał Steven Pye z „Guardiana”. Co tu dużo mówić, „Synowie Albionu” wyszli na murawę stadionu w Rio niemalże skazani na porażkę.

Barnes miał jednak w głowie inną wizję tego spotkania. W 44 minucie meczu dostał tajemniczego turbodoładowania, którego absolutnie nie przewidzieli rywale. On sam zresztą do dziś zdaje się być szczerze zaskoczonym swoim własnym wyczynem. Skoro już jesteśmy przy przebojach z tamtych lat – rozpedzony reprezentant Anglii wcielił się w Lionela Richiego, rzucając zdezorionowanym Brazylijczykom przekorne pytanie: „Hello, is it me you're looking for?”.

Zanim zdążyli go znaleźć w płataninie nóg, jaka wytworzyła się wewnątrz zagęszczonego pola karnego, piłka już trzepotała w siatce.

– Nie bardzo wiedzieliśmy, co on właściwie kombinuje. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że Barnes nie ma zamiaru nikomu podać tej piłki. Dlatego żaden z obrońców nie załatwił go od razu wślizgiem – tłumaczył po latach boczny obrońca, Leandro. Jeden z tych piłkarzy Canarinhos, których angielski skrzydłowy ze swobodą i gracją wyminął podczas swojego słynnego rajdu. – Kiedy świetnie przyjął sobie piłkę, automatycznie ruszyłem, żeby zablokować mu możliwość podania do obiegającego zawodnika. Popelnilem niewybaczalny błąd – zostawiłem mu miejsce do nabrania rozpędu... Cóż mogę powiedzieć, to była wspaniała bramka. Najpiękniejsze trafienia zdobyte na Maracanie otrzymują specjalną plakietkę ze zdjęciem, datą i nazwiskiem strzelca. Wierzę, że gol Barnesa powinien zostać wyróżniony wśród najsłynniejszych goli, jakie pamięta ten stadion – dodał 27-krotny reprezentant Canarinhos. Spotkanie zorganizowane z okazji 70-lecia brazylijskiej federacji piłkarskiej zakończyło się wynikiem 2:0 dla przyjezdnych ze Starego Kontynentu. Było to pierwsze zwycięstwo Anglii nad Brazylią od 1956 roku.

– Dla mnie sama obecność na tym stadionie była już czymś magicznym – wspominał Barnes. Jego klubowy trener, Graham Taylor, spotkanie oglądał natomiast w telewizji. Przecierał oczy ze zdumienia. – Kiedy piłka wpadła do siatki, przez dłuższą nie mogłem ochłonąć. Pomyślałem: „To jest naprawdę, ale to naprawdę wyjątkowa bramka, chłopcze”. Bryan Robson, wieloletni kapitan Anglików, dodał: – Kiedy John zaczął tak sunąć z piłką i mijać kolejnych obrońców, krzychałem za nim: „Podaj, podaj wreszcie!”. Ale on się nie zatrzymał.

Skrzydłowy sprawia dziś wrażenie nawet lekko zawstydzonego, że nie podzielił się piłką z żadnym z partnerów: – Tony Woodcock czekał na podanie. Liczył, że mu odegram. Do dzisiaj mi nie wybaczył, że skończyłem tę akcję sam. Zawsze mi to wypomina, kiedy się spotykamy!

Przed wylotem z Rio bohater spotkania został rzecz jasna osaczony ze wszystkich stron przez dziennikarzy, którzy właśnie z nadzieją na tak niesamowitą korespondencję pofatygowali się za ocean. Barnes nie był oczywiście postacią wyciągniętą przez selekcjonera za uszy jak królik z kapelusza – od dawna miał już za sobą debiut w narodowych barwach, a jego Watford ledwie dwa tygodnie przed potyczką z Canarinhos wystąpił w finale Pucharu Anglii. Lecz co innego udane występy w lidze czy pucharze, a co innego taka bramka, zdobyta w narodowych barwach. To trafienie miało wartość naprawdę nadzwyczajną, nawet biorąc pod uwagę, że stawką meczu były w gruncie rzeczy złote kalesony. Znajdzie się przecież w historii futbolu więcej międzypaństwowych spotkań towarzyskich, które właśnie ze względu na niesłychanego gola stały się kultowe. Choćby sparingowa potyczka Francji z Brazylią z 1997 roku, uświetniona zdumiewającym trafieniem Roberto Carlosa bezpośrednio z rzutu wolnego. Gol Barnesa był wydarzeniem podobnego kalibru. Jeżeli otwierać licznik trafień w reprezentacji, to właśnie w takim stylu.

Zapadł już wieczór w mieście będącym pod nieustanną obserwacją Chrystusa Zbawiciela, gdy Barnes po raz pięćdziesiąty omawiał kulisy swojego wspaniałego trafienia w towarzystwie paru zaprzyjaźnionych reporterów. W końcu został delikatnie popędzony przez jednego z kumpli z drużyny. Był jedynym zawodnikiem, który nie ruszył jeszcze na pokład samolotu odlatującego do Montevideo. Lot się jednak opóźnił, więc Barnesowi – człowiekowi o naturze lekkoducha – nigdzie się nie spieszyło. Zwłaszcza, że Jeff Powell z „Daily Mail”, Frank Clough z „The Sun” i James Mossop z „Sunday Express” bombardowali go kolejnymi pytaniami, na które z niemalą przyjemnością odpowiadał. Cieszył się ich zainteresowaniem, swoją sławą. Tak zwyczajnie się tym wszystkim cieszył.

Przez wiele lat Barnes nie zakładał, że zostanie kiedykolwiek profesjonalnym piłkarzem, a tymczasem stał tu sobie w towarzystwie ludzi, którzy traktowali go jak pełnoprawną gwiazdę angielskiego futbolu. Można sobie tylko wyobrazić, jak przyjemne to było uczucie.

W końcu należało się jednak zabrać w drogę. Grupka dziennikarzy wraz z Barnesem wsiadła wreszcie do pojazdu, który miał dowieźć ich do samolotu. Nagle pasażerowie za swoimi plecami usłyszeli donośne śpiewy. To brytyjscy kibice, którzy również wybierali się do Montevideo, żeby obejrzeć spotkanie „Synów Albionu” z reprezentacją Urugwaju, darli się wniebogłosy. Nie potrafili przestać świętować sensacyjnego zwycięstwa. Kadra po Ameryce Południowej poruszała się liniami rejsowymi, co pozwalało fanom na podróżowanie wraz z piłkarzami.

Pieśń wznoszona przez kibiców było słycać coraz wyraźniej. – We only won one-nil, we only won one-nil! – ryczeli, srodze już zachrypnięci. „Wygraliśmy tylko jeden do zera”. Dziwna przyspiewka po dwubramkowym triumfie, czyż nie?

Wszystko tłumaczy opowieść wspomnianego Jeffa Powella, bezpośredniego uczestnika tamtych wydarzeń: – Wirtuozerskie dokonanie Barnesa, które pozwoliło Anglikom wyjść na prowadzenie, zostało uzupełnione bramką

autorstwa Marka Hateleya, który po przerwie głową wpakował piłkę do siatki i ustalił wynik meczu na 2:0. Dla niektórych kibiców drugi gol stanowił jednak nie tyle powód do radości, co idealną okazję, by dać upust trującym uprzedzeniom rasowym. Ich przyśpiewka była wymierzona bezpośrednio w Barnesa – udawali, że gol strzelony przez czarnoskórego zawodnika się nie wydarzył. W ich mniemaniu czarni piłkarze nie mogli strzelać dla reprezentacji Anglii. To były ponure czasy, gdy propagandyści z Frontu Narodowego wykorzystywali futbol do szerzenia swojej neo-nazistowskiej propagandy partyjnej, bredząc o supremacji białej rasy. Już podczas meczu niektóre grupki fanów zachowywały się w sposób niesmaczny, ale na lotnisku sytuacja stała się naprawdę obrzydliwa. Ci faszyci zaczęli popychać Johna, kiedy ten był na schodkach autobusu. Intonowali kolejne, skrajnie rasistowskie pieśni. Zaczęli mu grozić. Wycofali się dopiero wtedy, kiedy całą ekipą dziennikarzy zagroiliśmy im drogę. Barnes wykorzystał ten moment i szybko dostał się na pokład samolotu, gdzie zajął bezpieczne miejsce. Później drużyna była nam wdzięczna za ten gest odwagi – kiedy dotarliśmy do hotelu, już czekały na nas w barze drinki. Pisco lało się strumieniami.

Ten incydent nie był rzecz jasna odosobniony. Cudowne trafienie czarnoskórego Barnesa wielu oczarowało, lecz nie dla wszystkich sympatyków reprezentacji Anglii było do zaakceptowania. Sam zawodnik z przejawami rasowych uprzedzeń spotykał się od początku swojej zawodowej kariery. – Rzeczywiście, na lotnisku znalazło się wielu zwolenników Frontu Narodowego. Ignorowaliśmy ich śpiewy, nie było w nich zresztą nic niezwykłego. Tak w tamtym czasie wyglądał brytyjski futbol. Wszyscy udawali, że problem rasizmu nie istnieje. Podczas każdego spotkania buczeniem kwitowano większość moich kontaktów z piłką, to była norma – opowiadał Barnes. – To nie był zresztą wyłącznie problem piłki. W świecie futbolu nie ma ani mniej, ani więcej rasizmu niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie życia.

„Jestem bardziej Anglikiem czy bardziej Jamajczykiem? Ani to, ani to. Jestem Johnem Barnesem”.

John Barnes

John Charles Bryan Barnes przyszedł na świat 7 listopada 1963 roku w Kingston, stolicy Jamajki, będącej jednocześnie jednym z najważniejszych portów Morza Karaibskiego. Oczywiście jego dwa imiona zostały ze sobą skomponowane nieprzypadkowo. Ojciec chłopaka, Ken Barnes, był wielkim fanem talentu Johna Charlesa – legendarnego walijskiego piłkarza, zwanego „Delikatnym Gigantem”, który w 1959 roku zajął trzecie miejsce w wyścigu po Złotą Piłkę. Barnes senior sam zresztą też grał w piłkę, w latach 50. był nawet reprezentantem Jamajki na pozycji środkowego obrońcy. Choć pochodził z Trynidadu i Tobago, zakładał kapitańską opaskę w jamajskiej kadrze. Do Kingston trafił jako żołnierz brytyjskiej piechoty. Kiedy Jamajka ogłosiła niepodległość na początku lat 60., Barnes został włączony w szeregi nowo powstałej, jamajskiej armii. W 1973 roku awansowano go do stopnia pułkownika. Jego podkomendni wspominają go jako mentora, doskonałego administratora i wielkiego dżentelmena. – Nie mam tylko pojęcia, skąd wpadło mu do głowy imię Bryan – zastanawiał się w jednym z wywiadów John.

Ken – a będąc ścisłym: Roderick Kendrick Barnes – wyrósł w swoim czasie na jedną z najważniejszych postaci dla rozwoju sportu w Kingston. Kiedy sam skończył już czynnie uprawiać futbol (grał też w squasha, rugby, był utytułowanym pięściarzem), zajął się zarządzaniem organizacjami i federacjami, spełniając się przy okazji w roli trenera. Co nie oznacza rzecz jasna, że jego działalność w armii ograniczała się tylko do tego rodzaju zagadnień. Sprawdzał się również jako dowódca. W 1983 roku Barnes kierował oddziałami karaibskich państw i państweczek podczas amerykańskiej interwencji na Grenadzie.

Amerykańscy żołnierze zdobywają Grenadę w ramach Operacji Urgent Fury. Zarzewiem konfliktu był zamach stanu, przeprowadzony na karaibskiej wysepce przez lewicowy ruch JEWEL. Inwazję, która stanowiła jeden z wielu drobnych etapów Zimnej Wojny, potępiała zgodnie społeczność międzynarodowa, nawet bliscy sojusznicy USA.

– Ludzie czasem wymieniają gwiazdy sportu jako swoje wzorce. Nie zgadzam się z tym. Myślę, że tak naprawdę dla każdego z nas podstawowy wzór stanowią rodzice – wspominał John Barnes, który większą część dzieciństwa spędził hasając w bazie wojskowej, wśród mundurowych. Poniekąd przesiąkł mentalnością właściwą dla bywalców koszar, choć sumienność, pokorę i rzetelność udawało mu się całkiem udanie łączyć z naturalnym luzem i pewną niefrasobliwością. – Miało to wielki wpływ na moje życie. Mniejsza o karierę. Mój tata uczynił mnie człowiekiem, którym jestem do dzisiaj. Wszystkie moje życiowe osiągnięcia wynikają z tego, jak zostałem wychowany. Kiedy przeprowadziliśmy się do Anglii,

miałem tylko dwanaście lat. Tata został attache wojskowym, mieliśmy spędzić w Europie zaledwie cztery lata. Wiedziałem, że czeka za jakiś czas mnie powrót do Kingston. Uwielbiałem futbol, lecz w tamtym czasie nie spodziewałem się jeszcze, że zajmę się nim kiedykolwiek profesjonalnie. Dla obywatela Jamajki to nie była zbyt realistyczna perspektywa. Byłem niezły – wiedziałem, że piłka na zawsze zostanie częścią mojego życia. Tak naprawdę właśnie to był dla mnie najbardziej inspirujące u mojego taty. Nigdy nie chciałem pójść jego ślady i zostać żołnierzem, ale kapitanem reprezentacji kraju? Zdecydowanie tak.

Po przeprowadzce do Anglii podstawowym zmartwieniem ojca była zaaklimatyzowanie Johna w nowej szkole. Wojskowy przygotował się do tego już wcześniej, jeszcze w Kingston, zapisując swojego syna na... wyjątkowo ciężki kurs pływacki. – Uważam, że każdy dzieciak zostaje prędzej czy później zaakceptowany przez grupę, jeżeli dobrze się spisuje w sporcie. John nienawidził lekcji pływania, ale stał się dzięki nim wyjątkowo wysportowany. Ciężko trenował przez cały rok. To pomogło mu zostać szybko zaakceptowanym i popularnym w nowym otoczeniu – tłumaczył Ken. – Trochę się martwiłem, czy czarnoskóry dzieciak nie będzie miał kłopotów w szkole, ale już po paru tygodniach John zaczął przyprowadzać do domu kumpli. Białych i czarnych. Wiedziałem, że wszystko jest w porządku.

– No, może z wyjątkiem odrabiania prac domowych. Trudno było go zmusić, żeby regularnie odrabiał lekcje. Przynajmniej ja nie dawałem sobie z tym rady. Na szczęście moja żona była w tym całkiem niezła – ze śmiechem wspominał pułkownik.

Barnes junior rzeczywiście szybko zaczął robić furorę w londyńskiej St Marylebone Grammar School, rzecz jasna na polu sportowym. Początkowo spełniał się tam przede wszystkim jako rugbista. Z czasem zaczął jednak błyszczeć również na piłkarskich boiskach. Co ciekawe – przede wszystkim jako obrońca. Okazuje się, że Barnes był jedynym dzieciakiem w całej drużynie, który miał w sobie dość samodyscypliny, by trzymać się ustalonej przed meczem taktyki i nie powodować na boisku chaosu. – Kiedy na niego spojrzalesz, wyróżniał się w grupie samym swoim zachowaniem. Do piłki garnęła się trudna młodzież z biednych dzielnic. Dzieciaki z rozbitych rodzin, często tłumiące w sobie wiele agresji. John był inny. Szanował każde moje polecenie – opowiadał Ray Sullivan, jeden z pierwszych trenerów Barnes'a.

– Żaden z chłopaków nie palił się do gry w obronie, to dość oczywiste u najmłodszych – mówił natomiast Dereck Brown, inny ze szkoleniowców, którzy zetknęli się z przyszłym reprezentantem Anglii na etapie juniorskim. – Pamiętam pierwsze słowa, jakie John wypowiedział po podziale ról w zespole: „Gram w obronie, bo to ja potrafię się poświęcić dla drużyny”.

Nawet wybór boiskowych idoli świadczy o tym, że Barnes był wyjątkowym chłopakiem: – Wszyscy moi ulubieni zawodnicy byli reprezentantami Niemiec. Zakochałem się w drużynie z 1974 roku, która zdobyła mistrzostwo świata. Nie mogłem oderwać oczu od Franza Beckenbauera i Wolfganga Overatha. Lubilem ich zdecydowanie bardziej niż piłkarzy takich jak Pele. Nie ma porównania. Nawet moje pierwsze buty sportowe to było obuwie Adidasa – opowiadał.

W wieku szesnastu lat John występował w barwach lokalnego Stowe Boys Club. Jak sam przyznaje – nie wyróżniał się talentem na tle kolegów, nawet w tak drobnym klubie. – Być może to ja uczyniłem szalony progres później, albo to oni przestali się rozwijać, dlatego nie porobili wielkich karier. Jednak wtedy, w Stowe, naprawdę nie można było powiedzieć, że jestem najzdolniejszym chłopakiem w grupie – opowiadał Barnes. Piłka wciąż nie stała się jego obsesją – chłopak planował nawet studia w Stanach Zjednoczonych, rozważał karierę naukową wzorem swojej matki. Niemniej – to właśnie na niego zwrócili uwagę skauci Watfordu. – Koło naszego boiska przejeżdżał taksówkarz. Jak się okazało, wierny kibic „Szerszeni” – wyjaśnia trener Brown. – Był absolutnie oczarowany tym, co chłopcy pokazywali na treningu, szczególnie Barnes. Poinformował zaprzyjaźnionych skautów, że muszą jak najszybciej to zobaczyć.

– Usłyszeliśmy o nim, wzięliśmy go na testy, obejrzelśmy go i podpisaliśmy z nim kontakt. Nie było w tym żadnej filozofii. Czasami nie trzeba być wielkim ekspertem, żeby dostrzec oczywisty talent – stwierdził wspomniany Graham Taylor, manager Watfordu w latach 1977 – 1987 i 1996 – 2001, jedna z największych postaci w dziejach tego klubu.

Ukochana drużyna Eltona Johna na początku lat 80. przechodziła akurat proces odbudowy. To właśnie słynny wokalista był zresztą w tamtym czasie jej właścicielem i to on powierzył pozycję managera Taylorowi, obdarzając go pełnym zaufaniem. Okazało się to strzałem w samo sedno tarczy. Angielski szkoleniowiec uwierzył w projekt rodzący się w klubie z południowo-wschodniej Anglii, dlatego dla ekipy występującej w czwartej lidze odrzucił nawet zaloty zespołów z angielskiej ekstraklasy. Pięć lat zajęło „Szerszeniom” przemieszczenie się z czwartego na pierwszy poziom rozgrywek. W

sezonie 1982/83 Watford został już wicemistrzem Anglii. To była wspinaczka na szczyt w tempie, jakiego nie powstydziliby się nawet Jerzy Kukuczka. – Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Elton zaprosił mnie do swojej posiadłości w Windsorze. Powiedział jak gdyby nigdy nic, że chce, aby jego ukochany Watford zaistniał w Europie. Powiedział to w momencie, gdy klub był na dnie czwartej ligi. Odrzekłem mu wprost: „Raczej się tego nie doczekasz, chyba że masz zamiar wpompować w tę drużynę milion funtów”. W tamtym czasie to były niewyobrażalne pieniądze. A on odpowiedział po prostu: „Milion? Okej, dam radę”. Sześć lat po tej rozmowie wystąpiliśmy w europejskich pucharach, a on przechwalał się nawet, że kosztowało go to „tylko” 790 tysięcy – wspominał Taylor. – Układ między mną i Eltonem był prosty. Ja nie wybieram piosenek, które on ma wykonywać na koncertach. On nie wybiera zawodników, który ja mam wystawić w składzie. Świetnie się dogadywaliśmy. Po pewnym czasie staliśmy się sobie bliscy jak bracia.

– Nie można zmienić swojej ukochanej drużyny na inną – opowiadał z kolei Elton w wywiadzie całkiem niedawno udzielonym „Guardianowi”. – Nawet jeżeli gra kompletnie do dupy. Kibicowanie jest piękne, kiedy wygrywasz. Ale kiedy Manchester City zniszczył nas 8:0, to miałem ochotę zapaść się w mysiej dziurze. Co nie zmienia faktu, że nie pokocham innej drużyny niż Watford. Nigdy nie sądziłem, że zostanę jej właścicielem, ale tak naprawdę ta funkcja pozwoliła mi przetrwać. Byłem na skraju zatracenia, moje życie stało się kompletnie szalone, a praca przy piłce pozwoliła mi zachować kontakt z rzeczywistością. Z moimi korzeniami. Dlatego zawsze pozostanę wdzięczny Watfordowi. Chyba że przegrywa 0:8.

John Barnes stał się częścią tego niesamowitego projektu w 1981 roku, gdy zadebiutował w drugoligowym Watfordzie w wieku siedemnastu lat. – Podczas testów wystąpił w naszym zespole rezerw. Trafił w poprzeczkę strzałem z połowy boiska. Wiedziałem, że to wyjątkowy dzieciak. Już w przerwie meczu zdecydowałem, że go bierzemy – zapewniał ówczesny manager „Szerszeń”.

Angielski zawodnik dawno już oczywiście zapomniał o pozycji środkowego obrońcy. Zakotwiczył na lewym skrzydle, gdzie stanowił prawdziwy taran, zdolny zdemolować każdego obrońcę, który stanie mu na drodze. Dość wysoki, piekielnie szybki i silny, bajecznie wyszkolony technicznie, z naturalną elegancją w ruchach – Barnes był skrzydłowym niemalże kompletnym. Dla Watfordu zagrał w sumie 296 razy, notując aż 85 goli. Innych statystyk w tamtym czasie nie prowadzono, lecz bez wątplenia John jeszcze częściej asystował przy trafieniach swoich kolegów. Wprawdzie już w latach 80. jego styl gry i wachlarz zagrań dość mocno wykraczał poza zachowania typowe dla skrzydłowych z angielskiej First Division, no ale nawet tak nieszablonowy gracz jak Barnes większość akcji rozwiązywał jednak w sposób typowy dla Brytyjczyków – rajd do linii, wrzutka na głowę środkowego napastnika. Dzisiaj piłkarz z tak fenomenalnie ułożoną lewą nogą bez wątplenia grałby na prawym skrzydle w roli schodzącego napastnika. – Obecnie angielscy managerowie każdy wieczór kończą modlitwą o swojego Johna Barnesa – kraśniał z zachwytu Taylor. Viv Anderson, były kolega Barnesa z zespołu, dowodził natomiast: – John był niesamowicie inteligentnym zawodnikiem. Wiedział, jak korzystać na boisku ze swoich predyspozycji. Wszyscy pamiętają przede wszystkim jego zagrania lewą nogą, ale on i z prawej potrafił zdobyć bramkę, doskonale prowadził piłkę obiema stopami. Dlatego był nieobliczalny – każdą akcję mógł rozwiązać na kilka możliwych sposobów, obrońcy nie potrafili odczytać jego intencji.

Zawodnik świetnie odnalazł się w reżimie treningowym surowego szkoleniowca. – Taylor był człowiekiem niezwykle zasadniczym. Wielu młodych zawodników nie potrafiło sobie z tym poradzić. Nie mieli w sobie dość samozaparcia, żeby z pokorą wykonywać wszystkie jego polecenia. Ja nie miałem z tym żadnego problemu, bo tak mnie wychowano. Pokorę wyniosłem z domu, więc później lubiłem grać dla trenerów, którzy wysoko zawieszali poprzeczkę.

Wielu ekspertów podważało zresztą decyzje Taylora, który – ich zdaniem – aż nazbyt ochoczo stawiał na młodych zawodników. Dewiza szkoleniowca była jednak jasna: – Nie ma piłkarzy za starych albo za młodych. Jeżeli jesteś dość dobry, to grasz.

Z drugiej strony – styl gry preferowany przez managera Watfordu, przynajmniej w teorii, nie sprzyjał nastoletnim gwiazdom pokroju Barnesa. U Taylora w ogóle nie było gwiazd. Wszyscy zasuwali tak samo. – Taylor był wyznawcą teorii chaosu. Obrońcy mieli jedno zadanie – zauważyć piłkę, dopaść do niej i wykopać ją na połowę przeciwnika. Było naprawdę niesamowite, że zawodnik tak elegancki jak Barnes odnalazł się w tak barbarzyńskiej taktyce – pisał Simon Hughes w książce „Red Machine. Liverpool in the '80s”. Barnes ma na to inny pogląd: – Kiedy zacząłem występować w Watfordzie, mieszkalem już w Anglii sam. Graham stał się moim nauczycielem. Nauczył mnie jak uwierzyć w siebie podczas trudniejszych czasów, a jednocześnie uodpornił mnie na wodę sodową. Dla mnie – jako dla nastolatka – to było

najlepsze miejsce by rozwijać swoje umiejętności. Trener nauczył nas dobrych manier, kazał nam się schludnie ubierać i zakazywał picia alkoholu.

Stało się jednak w pewnym momencie oczywiste, że przy Vicarage Road zadomowił się piłkarz o potencjale przerastającym możliwości ambitnej, ale jednak pod wieloma względami ograniczonej ekipy „Szerszeni”. Barnes, owszem, zakręcił się z Watfordem koło mistrzostwa, parę raz był też blisko triumfu w Pucharze Anglii. Przede wszystkim w 1984 roku, gdy Watford poległ w finałowym starciu z Evertonem. Mówimy o naprawdę zacnej, ciekawej ekipie. Występy w niej otworzyły skrzydłowemu drogę do reprezentacji Anglii. Pozwoliły mu eksplodować talentem w Rio de Janeiro.

Jednak im dalej w las, tym bardziej kusił Barnes splendor tej prawdziwie wielkiej piłki.

„John Barnes był stuprocentowo spokojny z piłką przy nodze. Podczas treningu nie dało się odebrać mu futbolówki. Traktował ją jak swojego najbliższego przyjaciela. Kiedy drużyna sobie nie radziła, brał na siebie odpowiedzialność i szukał bramki. Kiedy szło nam dobrze, dbał o to, żeby wszyscy nacieszyli się posiadaniem piłki”.

Jamie Redknapp

Talent Barnesesa znalazł rzecz jasna licznych wielbicieli. Transferowa saga z jego udziałem trwała zaskakująco długo – skala plotek, fałszywych pogłosek i chybionych spekulacji przypominała raczej współczesne czasy niż drugą połowę lat 80. Ostatecznie jednak wyścig o podpis 24-letniego zawodnika wygrała drużyna, która jeszcze kilka lat wcześniej mogła spokojnie uchodzić za najpotężniejszą nie tylko na Wyspach, lecz w Europie. W 1987 roku Barnes zamienił Watford na Liverpool. Wykupienie go kosztowało włodarzy The Reds około 900 tysięcy funtów. Nie był to rzecz jasna rekord transferowy, lecz kwota i tak robiła wrażenie. Kompletowaniem składu na Anfield zajmował się już w tamtym czasie Kenny Dalglish – ulubieniec trybun, być może najwybitniejszy piłkarz w historii Liverpoolu. Zarządził on wielką ofensywę transferową w odpowiedzi na zupełny brak trofeów w sezonie 1986/87, co postrzegano jako prawdziwą klęskę mocarnego klubu.

Równoległe ekipę z Anfield Road wzmocnili Peter Beardsley, John Aldridge i Ray Houghton. Rok później tę niesamowitą paczkę uzupełnił jeszcze Ian Rush, który powrócił do macierzy po krótkim pobycie w Juventusie. Narodziła się ofensywa, którą wielu kibiców The Reds po dziś dzień uważa za najpotężniejszą w historii.

Kontrowersyjne okoliczności przeprowadzki Barnesesa na Anfield nie wszystkich jednak po czerwonej stronie Liverpoolu usatysfakcjonowały. Było dość jasne, że skrzydłowemu marzył się nieco inny kierunek transferowy – chciał realizować się w europejskich pucharach, a w Liverpoolu miał na to marne szanse z racji na zakaz występów w rozgrywkach UEFA po tragedii na Heysel. Kara dotyczyła rzecz jasna wszystkich angielskich zespołów, ale w przypadku The Reds była szczególnie długa i dotkliwa. Barnes w wywiadach stawiał sprawę jasno – otwarcie spekulował o tym, że marzy mu się gra w którymś z londyńskich klubów, opowiadał też o swojej fascynacji włoskim futbolem. Wyglądało na to, że skrzydłowy potraktował Liverpool jak opcję zapasową, a tak naprawdę wyczekiwał na sygnał ze strony Tottenhamu lub Arsenalu. Taśma z kompilacją jego zagrań wylądowała też na biurkach działaczy klubów włoskich oraz francuskich.

Summa summarum – Liverpool był jedynym klubem, który sformalizował swoje zainteresowanie, wykładając za Barnesesa konkretne pieniądze. Zawodnikowi nie pozostało zatem nic innego, jak tylko rozkochać w sobie fanów The Reds na boisku, rehabilitując się za niefortunne wypowiedzi. Po latach dementował on zresztą pogłoski, jakoby traktował ekipę z Anfield jako opcję rezerwową: – Różne rzeczy mówiono o moim transferze. Ponoć byłem nawet proponowany Sir Alexowi Fergusonowi do Manchesteru United! Nie wiem, może były takie rozmowy. Ale prawda jest taka, że moje przenosiny do Liverpoolu zostały uzgodnione na długo przed ich oficjalnym ogłoszeniem. Żaden Manchester nie wchodził w grę.

Tak czy owak, zdobycie zaufania sympatyków The Reds nie było to proste. Nie tylko z uwagi na okoliczności transferu.

Rasistowskie bluździ, buczenie, małpie dźwięki, fruwanie koło głowy banany, oplucia – do tego wszystkiego Barnes był przyzwyczajony od lat. Z tego rodzaju atakami spotykał się na każdym stadionie poza obiektem Watfordu. Przenosiny do

Liverpoolu oznaczały dla niego nowy rozdział prześladowań. The Reds byli drużyną białych zawodników. I wielu kibiców życzyło sobie, by tak pozostało. – Zanim nie przeprowadziłem się do Liverpoolu, nie zdawałem sobie sprawy, jak głęboko segregacja wrosła w całą kulturę tego miasta. To było zdumiewające.

Jak opisuje Simon Hughes w swojej książce o gwiazdach The Reds z lat 80., już same pogłoski o transferze Barnesa wywołały pewien rezonans. – Archiwa „Echo” i porannego „Daily Post” ujawniają, że zanim Barnes dołączył do Liverpoolu, ściany The Kop zostały pokryte rasistowskimi bluzgami. Lokalna prasa doskonale o tym wiedziała, ale działacze Liverpoolu jakoś przekonali dziennikarzy, aby nie drukować tej historii. W końcu „Post” nie wytrzymał i opublikował anonimowy artykuł, który głosił, że klub jest zdeterminowany, aby wypłenić z Anfield rasizm. Pokazano zdjęcie wejścia na trybunę The Kop – tabliczka nad bramą została wyraźnie oznaczona inicjałami „NF”, symbolizującymi Front Narodowy. Barnes był pierwszym czarnym zawodnikiem podpisanym przez Liverpool i Everton. Czarnoskórzy piłkarze oczywiście odgrywali już ważne, czasem nawet kluczowe role w innych klubach, ale nie na Merseyside. Tamtejsze ekipy pozostawały białe, nie licząc epizodycznych występów czarnoskórych wychowanków.

Pierwszym czarnym piłkarzem w koszulce Liverpoolu był Howard Gayle, który zadebiutował na Anfield w 1977 roku. Nigdy jednak nie przebił się na stałe do wyjściowej jedenastki. Barnes miał natomiast wszelkie argumenty ku temu, by stać się mega-gwiazdą. Nie mógłby jednak tego osiągnąć bez wsparcia własnych trybun.

Początek sezonu 1987/88 był dla The Reds niemal doskonały. Przemebrowana ofensywa spisywała się fenomenalnie, zespół wygrywał jeden mecz za drugim. W wielkim stylu. Atmosfera z każdym tygodniem była coraz lepsza, lecz Barnes wciąż był przez sympatyków traktowany trochę jak intruz. Wszystko zmieniło się jednak 17 października, w dwunastej kolejce First Division. Liverpool podjął tamtego dnia przed własną publicznością ekipę Queens Park Rangers, a John, który w pierwszej fazie sezonu prezentował się bardzo dobrze, wskoczył wreszcie na poziom kosmiczny. Zdobył dwa gole, w tym jedno doprawdy precyzyjne trafienie. Odebrał futbolówkę przeciwnikowi na linii środkowej boiska, wparował z nią w pole karne, położył dwóch obrońców i wpakował do bramki. Można było policzyć na placach jednej ręki stolarza zawodników z angielskiej ekstraklasy, którzy potrafili w tamtym czasie poruszać się z piłką tak swobodnie.

DalGLISH po końcowym gwizdku udawał, że nic szczególnego się nie stało, choć w duchu na pewno triumfował: – Barnes jedną bramkę wypracował, dwie strzelił, grał widowiskowo. Ale chyba po to go tutaj ściągnęliśmy, prawda?

Po szalonym popisie Barnesa w starciu z QPR wielu z jego najżagorzalszych krytyków postanowiło wyluzować. Stracili argumenty – tego gościa nie dało się nie cenić. The Reds w 1988 roku odzyskali tytuł mistrzowski z miażdżącą przewagą nad resztą stawki. Przegrali tylko dwa z czterdziestu ligowych spotkań, strzelili aż 87 bramek. O szesnaście więcej niż wicemistrzowie z Manchesteru United. Barnes był boiskowym liderem i motorem napędowym tej niezwykłej ofensywy. Po sezonie zgarnął wszystkie możliwe indywidualne nagrody. – Myślę, że John był w tamtym czasie najlepszym piłkarzem na świecie – przyznał wprost Peter Beardsley. – Od pierwszego treningu czułem, że to wypali. Czulem się w tamtym zespole tak, jakbym grał z tymi chłopakami od dziecka.

W czym tkwiła tajemnica sukcesu? Barnes zauważa, że pierwszy raz w karierze trafił do drużyny, która dominowała mecze od pierwszej do ostatniej minuty. Posiadanie piłki, kleпка, agresywny odbiór, kontrola gry. W Watfordzie pochodzący z Jamajki zawodnik mógł liczyć w porywach na kilkanaście kontaktów z piłką w trakcie spotkania. Albo coś z tego wyczarował, albo nie. W Liverpoolu futbolówkę dostawał kiedy tylko zechciał. DalGLISH zapewniał swoim zawodnikom mnóstwo luzu na boisku.

To mogła być broń obosieczna. Być może stąd wzięła się też zaskakująca klęska The Reds w finale Pucharu Anglii, gdy dali się zaskoczyć legendarnej, wojowniczej ekipie Wimbledonu.

– Kenny tak naprawdę w ogóle nas nie trenował. Przychodził rano do klubu i pykał sobie z nami w gierkach pięciu na pięciu – wspominał Barnes. – Piłkarze mieli sami odpowiadać za swój rozwój, robić postępy naturalnym rytmem. Nigdy nie analizowaliśmy taktyki przeciwnika. W Liverpoolu nauczyłem się jednak pewnej rzeczy – koncentracji na kolejnych wyzwaniach. Trzeba zawsze ograniczać ekscytację sukcesami i rozczarowanie porażkami. Kiedy wygraliśmy pierwszy tytuł w 1988 roku, zarząd nie miał nam z tej okazji nic do powiedzenia. Jeden z dyrektorów wszedł do szatni, pogratulował i opowiedział o harmonogramie przygotowań do kolejnego sezonu. Tyle. Rok później straciliśmy mistrzostwo na rzecz Arsenalu i reakcja była identyczna. Żadnych emocji. Kiedy Blackburn wygrało mistrzostwo już w Premier League, zorganizowano tam największą imprezę w historii angielskiej piłki. Jakiś czas później klub upadł. To mi daje do myślenia.

Podczas meczów wyjazdowych – zwłaszcza jeżeli chodzi o derby z Evertonem – wciąż sypały się pod adresem Barnesa wyzwiska, wciąż celowano w niego bananami. Ale te paskudne obyczaje zaczynały pomału znikać z kolejnych stadionów. Skrzydłowy został pierwszym czarnoskórym piłkarzem, który w Anglii cieszył się statusem mega-gwiazdy. Przebił szklany sufit.

„Barnes to największa zagadka w historii angielskiej piłki”.
Bobby Robson

– Rzeczywiście nie przepadałem za meczami z Evertonem – przyznał Barnes. – Nie chodzi tutaj jednak o rasistowskie gesty. Nie lubiłem tych spotkań, bo mało w nich było piłki, a więcej wojny. Rozumiem to – te mecze wiele znaczyły dla naszych fanów, ich oczekiwania sprawiały, że spotkania nabierały dodatkowej intensywności. Ale ja wolę takie starcia, gdy zwyciężasz dzięki swojej piłkarskiej klasie, a nie po walce. Granie derbów wyłącznie sercem, a nie umysłem, jest niebezpieczne. To był zresztą błąd, który często popełnialiśmy. Zmienialiśmy swoje podejście do meczu tylko dlatego, że na Anfield pojawiał się Everton. Dlaczego? Przecież byliśmy od nich znacznie lepsi. Zapominaliśmy o tym.

Końcówka lat 80. to z jednej strony czas niezwykle efektownej gry Liverpoolu, ale jednocześnie labędzi śpiew tego klubu. Mistrzowski tytuł zdobyty w 1990 roku zakończył złotą erę w dziejach The Reds. Barnes wciąż prezentował się wspaniale – zdobył aż 22 gole w lidze, bombardując ze skrzydła jak szalony. Lecz i on wkrótce przestał olśniewać. Doznał poważnej kontuzji ścięgna Achillesa. Zdołał rzecz jasna powrócić na boisko, ale już bez przyspieszenia, którym wcześniej zaskakiwał przeciwników. Grał najwyżej na 70, a z czasem ledwie na 50% dawnych możliwości.

W sezonach 1987/88 – 1990/91 skrzydłowy zdobył dla Liverpoolu 61 bramek. Między sezonem 1991/92 a 1996/97 wpakował piłkę do siatki ledwie 22 razy. Wciąż potrafił doskonale kontrolować futbolówkę – zdaniem Robbie’ego Fowlera, z piłką przy nodze, na małej przestrzeni Barnes pozostawał w latach 90. absolutnie topowym zawodnikiem, piłkarskim czarodziejem najwyższej próby. Lecz bez wątplenia nie był już tą maszyną, która potrafiła przemieścić każdego obrońcę w angielskiej ekstraklasie. Trochę przytył, stopniowo tracił zapał do treningów. Stawał się z biegiem dość statycznym rozgrywającym. Nosił kapitańską opaskę, dowodził zespołem na boisku, fakt. Nie było w tym jednak dawnej iskry. Jednocześnie cały klub wpadł w dołek, tracąc dystans do nowych-starych potęg brytyjskiego futbolu. – Komercyjna dominacja Manchesteru United w latach 90. była niepodważalna, ale to Liverpool mógł równie dobrze być na ich miejscu – zauważył Barnes. – Jednak tacy ludzie jak Bill Shankly, Bob Paisley czy Joe Fagan nie dostrzegali nic innego poza futbolem. Byli zainteresowani trofeami, meczami i treningami. Inne aspekty ich nie interesowały. Wystarczy spojrzeć na Anfield i porównać ten stadion z obiektami pozostałych angielskich klubów z czołówki, by zrozumieć tę różnicę. Liverpool padł ofiarą kultury futbolowej, która się zmieniła. Zanim się zorientowano, że trzeba działać, to było już za późno.

Ostatecznie Anglik buty na kołku zawiesił de facto w 1999 roku. Po zakończeniu przygody z Liverpoolem szukał jeszcze szczęścia w Newcastle, Charltonie i Celticu, ale bez pozytywnych rezultatów.

Niespełnioną obietnicą pozostała też jego przygoda z reprezentacją narodową. Gol z Brazylią, od którego zaczęła się cała opowieść, wywindował oczekiwania wobec Barnesa na niebotyczny poziom. Wypromował go, ale i obarczył odpowiedzialnością. A skrzydłowy nigdy nie był w stanie spełnić wymagań, jakie przed nim stawiano. Na wielkich turniejach nie błyszczał, niekiedy nawet nie potrafił przebić się do wyjściowej jedenastki w kadrze. Na Anfield, choć grał bliżej skrzydła, występował z numerem dziesięć na plecach i było to w pełni uzasadnione, ponieważ jego wpływ na każdą akcję zespołu był kluczowy dla jej powodzenia. W reprezentacji Barnes pełnił drugo-, a czasem nawet trzecioplanową rolę. W narodowych barwach po prostu gasł. – Bramka przeciwko Brazylii była jego błogosławieństwem, ale i przekleństwem. Zyskał sławę, którą napędziła jego kariera. Jednocześnie wymagano od niego, by robił takie rajdy w każdym meczu. A to była akcja z gatunku tych, które nie zdarzają się na co dzień – tłumaczył Graham Taylor. – Do dziś nie wiem, dlaczego John nie wzniósł się w reprezentacji na ten sam poziom, który prezentował w klubie – pisał w swojej autobiografii Bobby Robson, który był – mimo wszystko – wielkim miłośnikiem talentu Barnes’a.

Skrzydłowego wielokrotnie zresztą pytano, czy... nie żałuje, że zdobył tego legendarnego gola w Rio de Janeiro. To o czymś świadczy. Barnes rzecz jasna wyśmiewał tego rodzaju sugestie, przypominając, jak bardzo pozytywnym bodźcem był dla niego bramkowy rajd przeciwko Canarinhos. Tak czy owak – największym osiągnięciem reprezentanta Anglii na arenie międzynarodowej pozostaje rapowa zwrotka dograna w piosence „World in motion”.

Być może tutaj należy widzieć powód, dla którego kariera Barnesa została troszkę zapomniana. John był gigantem, ale tylko lokalnym – nie zablysnął nigdy na dłużej ani w kadrze, ani w europejskich pucharach. Jednak dla wielu czarnoskórych zawodników jego spektakularna kariera była swoistym drogowskazem: – John Barnes był inspiracją, to pionier – nie ma wątpliwości Ian Wright. – Udowodnił, że czarny piłkarz może być w Anglii wielką gwiazdą. Przelamał bariery. Myślę, że tak naprawdę akcja „Wykopmy rasizm ze stadionów” zaczęła się wówczas, gdy John piętą wykopał banana, którego w niego rzucono podczas derbów z Evertonem. To było przepiękne zachowanie.

Po zakończeniu piłkarskiej kariery losy Barnesa trochę się pogmatwały. Nie powiodło mu się w trenerce, w pewnym momencie ogłosił nawet bankructwo. Rzecz jasna do dziś dzień bywa on jednak przepytywany przez dziennikarzy przy okazji każdego rasistowskiego incydentu, jaki ma miejsce w świecie angielskiego futbolu.

Były piłkarz stara się jednak zachować w tym wszystkim zdrowy rozsądek. Jako zawodnik był nad wyraz odporny na realne rasistowskie wybryki, dziś zdarza mu się często tonować nastroje wobec rasizmu wydumanego. Jest w tym podejściu do tego stopnia konsekwentny, że nazwano go nawet... apologetą rasizmu. Serio – gość, w którego przez prawie całą karierę skinheadzi celowali bananami musi się dzisiaj tłumaczyć z takich rzeczy. Tylko dlatego, że nie przyłączył się do paru medialnych nagonek, między innymi usprawiedliwając ostatnio Bernardo Silvē, gdy ten w sposób niepoprawny politycznie zażartował sobie w mediach społecznościowych i został natychmiast odsądzony od czci i wiary. – Wiem, do czego nawiązywał obrazek wrzucony przez Bernardo Silvē. Jeżeli cofniesz się głęboko do historii, to rzeczywiście, można w tym zauważyć rasistowski kontekst. Ale przecież Bernardo o tej historii nie ma pojęcia. Nie do tego nawiązywał jego tweet. Przez lata wizerunek czarnego człowieka z wielkimi wargami miał nas, jako społeczność, obrażać. Ale czy musi tak być? Nie bądźmy przewrażliwieni. Zmieńmy narrację. Wielu czarnoskórych się ze mną zgadza, ale nie powiedzą tego w mediach. Ja nie biorę udziału w tej zbiorowej hipokryzji.

– Przez dekady John Barnes był uznawany za głos rozsądku w kwestiach rasowych. I John Barnes się nie zmienił. Zmienia się jedynie ogólna narracja i sposób, w jaki przedstawiane są moje słowa. (...) Ja mówię o niewidocznych skórkach od banana. Rasizm to brak równych szans. On istnieje nawet wtedy, gdy nikt na twój widok nie buczy i nie udaje małpy.

<http://weszlo.com/2019/11/01/pionier-przelomowa-kariera-jobna-barnesa/>